

J. BRAUN.

„DEMON FILMU“

7

W godzinę później auto Diany pędziła przez cudnie kolorowymi lampami oświetloną ulicę.

„Ulica Lampjonów“.

Przed wspaniałym, monumentalnym gmachem kinoteatru „Demon“ — tłumy.

Setki i tysiące płyną po marmurowych schodach i tłoczą się u wejścia między słupami majestatycznej kolumnady.

Na ulicy długie szeregi aut i powozów.

Ścisk, gwar, chaos.

Djana i Henryk weszli w bramę, nad którą płonęła setka kolorowych żarówek jaskrawa, świetlna reklama.

Zajęli zbyt kownie urządzone piętrowe łóżce...

— Prześliczne! — wołała Djana, rzucając z góry spojrzenie na kolosalną halę widowni.

Istotnie wnętrze kina było istną fantasmagorią...

Od sklepienia rzucał brylantowe blaski bezcenny żyrandol płonący tysiącem świeczników...

Półkole łóż pyszniły się w tym blasku, jak królewskie djamenty. W łóżach — na czarnym tle fraków — egzotyczne kwiaty toalet. Stylizowane przedziwne fryzury, przybrania głów, obramowane klejnotami dekoltaże, czar obnażonych ramion...

Wszędzie, gdzie oko się zatrzyma, rzeźby, ornamentacje, dziwaczne draperje fałdziste, posągi.

Żyrandol główny gaśnie.

Hala tonie w powodzi światła różnokolorowych latarni.

— Popatrz pan, panie Henryku. Ile ludzi!?

— Istotnie. Pół Centralopolis...

— Cała śmietanka!! Łoża dziennikarzy pełna!...

— Dyrektor zaciera ręce...

— Widzi go pan? Jak wygląda?

— Oho! bohaterowie dnia — jak widzę mają powodzenie u kobiet, choćby to byli tylko dyrektorowie kina. Założyłbym się, że pani chciałaby go poznać...

— No... — to znowu nie. Tak dalece moje zainteresowanie nie sięga. W każdym jednak razie...

— Imponuje pani twórca tak potężnej atrakcji, prawda?

— Widać, że imponuje nie tylko mnie, ale i całej stolicy. Inaczej nie dałoby tu sobie rendez-vous stu potentatów Centralopolis...

— O! potentatów spostrzegam nielada...

— Któż tam?

— Człowiek, który panią niezwykle zainteresował...

— Gdzie, kiedy?

— Na „Corsie powozów“, w alei „Wiosennego flirtu“.

— Ten detektyw?

— Tak pani Djano. Jest tutaj...

— Daj pan lornetkę. Chcę go zobaczyć...

Djana wychyliła się z łóży i nakierowała lornetkę we wskazanym przez Henryka kierunku...

Henryk nie mylił się.

Poważny, surowy profil Borghe'a rozróżniła łatwo między szeregiem fizjognomji męskich w jego łóży... Wielki, barczysty, wyższy od innych stał oparty o poręcz i rozmawiał z dyrektorem kina, panem Blankiem.

Gdy Blank odwróciwszy głowę powiódł z wolna oczyma po panoramie łóż przepełnionych strojną publicznością, oczy jego zatrzymały się na chwilę na twarzyczce Diany...

Oczy te były tak dziwne, tak mocne, tak przerażające, że Djana uczuła dziwny skurecz trwogi i jakby szarpnięcie fizycznego bólu. Na chwilę zatamowało jej to oddech, tak, jakby jakieś szatańskie okrucieństwo dławilo ją, oplótlony jedwabny sznur naokoło jej szyji.

Ale oczy przeniosły się na inne łóże i wrażenie minęło.

— Co to za człowiek? — spytała.

— Kto?

— Blank, ten tajemniczy dyrektor?

— To cudzoziemiec. Podobno przyjechał z Indji...

— O, to z pewnością. Jakiś wschodni tygrys...

— Aż takie zrobił wrażenie na pani...

— Nie wiem... — odpowiedziała machinalnie Djana bawiąc się wachlarzem, idąc za swoimi myślami...

Przed oczyma stanął jej dziwny obraz.

Zdawało się jej, że to dwaj olbrzymi, dwie wrogie potęgi spotkały się w tej obserwowanej przez nią w łóży... i przed śmiertelnym pojedynkiem wymieniają uprzejme, towarzyskie frazesy...

— „Walka Demonów“ — szepnęła Djana nie wiedząc, czemu jej to na myśl przyszło...

— Co pani mówi?

— Czy mówiłam coś?...

— Aha... i to o demonach...

— Doprawdy, że.. nie wiem...

— Widzę, że myśli pani są daleko odemnie...

— Nie.. ah, przypominam sobie.. to tytuł przeczytanej niedawno przezemnie powieści: „Walka Demonów“ — ładny tytuł, prawda?

— Przerażający...

— No, no tylko niech mi się pan nie przeraża, bo gotów mi uciec z łóży mój jedyny towarzyszy-obronca.

Śmiali się. Djana całkiem bezcelowo i okrutnie poczęła drażnić Henryka wyzywającą kokieterią.

Porucznik był w siódmym niebie.

Nie wiedział, że naprawdę myśl jej była daleko, daleko... zajęta kim innym, bardzo drogim, kochanym.

Światła gasły...

Na dole rżnęła z brawurą fenomenalna orkiestra Somalisów sprowadzona specjalnym okrętem z Kairo.

Gongi, talerze, tamburina...

Na widowni było już zupełnie ciemno...

Muzyka stała się głucha, przejmująca, zgrzytliwa... Było to coś w rodzaju monotonnej, wschodniej kołysanki, okropnej w swym beznadziejnym lamencie, bezbrzeżnie tęsknej i szło chającej dziko...

Równocześnie w ciemnościach zajaśniała blado i mglisto na wysokości ekranu fosforyzująca kula.

Widownia pogrążała się mimowolnie w stan nerwowego podniecenia. Muzyka działała jak narkotyk. Czarna dziewczyna Somalisów wydobywała z instrumentów jakieś straszne, nawołujące, rozpaczliwe dźwięki, ścinające krew w żyłach...

— Nie, doprawdy, tego wprost wytrzymać nie można — szeptała roztrzęsiona nerwowo Djana.

Fosforyzująca kula przyciągała ku sobie nieodpartym musiem oczy tłumów. Słyszano się szybkie, niespokojne oddechy. Ludzie popadali w jakąś niezrozumiałą hypnozę na jawie.. Zatracali poczucie rzeczywistości, drżeli w nieznanym sobie lęku...

ROZDZIAŁ VIII.

„Miasto zbrodni“.

Uderzył przeciągły, jękliwy gong.

Zastona rozsunała się.

Olbrzymi biały ekran — na ekranie napis:

MIASTO ZBRODNI.

Napis rozplynął się. Powoli otwierała się djafragma. Z pomiędzy gmatwaniny formistycznych cieni, konturów i niezrozumiałych kształtów wyłoniła się z początku mglista, lecz stopniowo coraz bardziej wyraźna twarz EDGARA SMITHA..

Djana drgnęła i krzyknęła cichutko zasłaniając zaraz usta wachlarzem. Serce zabiło jej silnie..

Smith spoglądał z ekranu na falujący tłum ludzki ogromni smutnymi oczyma, oczyma „artysty i zbrodniarza“, oczyma mądrego-naiwnego i łagodnie-okrutnego łotra — i uśmiechał się jakimś strasznym, cierpko-rafinowanym, potwornym wprost uśmiechem. Był to uśmiech, na widok którego mężczyźni ścierpli i mimowoli sięgnęli do kieszeni po browningi, a kobiety doznały rozkosznie-bolesnych wstrząsów.

Napis: Dziwny Zbrodniarz — Edgar Smith...

Djana drżała, jakby nią targała żółta febra...

Henryk przestraszony okrywał ją szalem.

Widziadło znikło...

Nastąpiły zdjęcia innych aktorów, w których publiczność rozpoznawała ze zdumieniem tych, o których zniknięciu tyle się ostatnimi czasy mówiło w stolicy...

Film się rozpoczął..

Snula się szalona, chora opowieść o jakimś strasznym, zatrutem przez obłąd „Miście Zbrodni“, o jakichś ludziach okropnych, jak zgnite straszaki na wróble, zdegenerowanych, zboczonych, wrogich. Na tle sinych, zapuszczonych nad światem — jak żaluzje lupanaru — nocy ukazywały się mętne upiory ludzkie, cuchnący nędzarze, śmieszni obłąkańcy, ludzie-żli, jak najzłośliwsze upiory, ludzie-wampiry pijący krew kobiet.

Było to coś, jakby potworny sen zwyrodniałego kokainisty, taniec złych instyktów, pokrzywiająca się ohydnie zmore.

Obraz za obrazem...

Coraz ciężiej na piersiach, coraz beznadziejniej, coraz duszniej..

Od ekranu wieje na widzów przeraźliwa, rozpaczliwa groza, czad zwęglających się dusz, spazm histerycznych nerwów.

Jakieś cuchnące zaułki ledwo rozświetlone błyskami kopających, potłuczonych latarni.

Włóczą się mętne, mgliste cienie niesamowitych ludzi.

Jacyś plugawi alkoholicy, jacyś schyleni, zaczajeni apasze, jakieś chore uliczne ciągnące mężczyzn w bezdenne otchłanie rozwierzganej rozpusty.

Krzywe, chwiejne mosty zawieszone nad rzeką niosącą na falach ścierwa samobójców i topielców i ofiar zbrodni. Ulice straszne, zapomniane, wąskie jak korytarze szpitalne, domy zapleśniałe, zmurszałe od fundamentów, rudery przeglądające się w brudnych lustrach kanałów.

Środowiska nędzy i zbrodni, dzielnice zarażonych, domy gry, gdzie przy butelkach wybuchają zjadliwe namiętności chciwych, skurczonych nad stołami graczy. Spelunki, gdzie przy dźwiękach chrapliwej muzyki murzynów tańczą — wyrzutki społeczeństwa, złodzieje i pół nagie dziewczki. Zatechli, lubieżni staruszkowie, wyuzdane, rozbastwione podlotki, sadyści, sifilicy, lichwiarze...